



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: SPIELBERG, LUCAS I CO DALEJ?

Widzowie, którzy oglądali wojenną, „zwariowaną” komedię Stevena Spielberga - „1941”, pamiętają doskonale postać szalonego pilota myśliwca, bezustannie tropiącego nie istniejące całe nieprzyjacielskie - „Dzikiego Bilia” Kelso. Grał go przysadzisty, „toporny” z wyglądu, ale niesłychanie ruchliwy i zwinny John „Jake” Belushi. Partnerował mu - również obsadzony w drugoplanowej roli - wysoki, chudy, flegmatyczny Dan „Elwood” Aykroyd, na ekranie - sierżant Tree, który, stojąc na wieży czołgu, wygłasza płomienne przemówienie do amerykańskich żołnierzy, zagrzewając ich do boju z domniemanym desantem niemieckim, co kończy się... zdemolowaniem połowy Los Angeles. Owa, tak bardzo zróżnicowana pod względem wyglądu zewnętrznego i temperamentu para komików, to byli znani doskonale amerykańskiej publiczności piosenkarze blues-rockowi, pokazujący się na estradach jako „The Blues Brothers”. W „1941” występowali wspólnie na ekranie po raz pierwszy; nie wykonywali tu żadnej piosenki występowali jako „zwyczajni” aktorzy. John Belushi miał, notabene, większe doświadczenie na planie filmowym: w 1977 r. zadebiutował w filmie „Goin South”, w tym samym roku zaangażował go do swego filmu „National Lampoon's Animal House” młody, wybijający się amerykański reżyser John Landis. To właśnie Landis miał w trzy lata później zrealizować film „The Blues Brothers” (muzyczną komedię z elementami burleski i widowiska sensacyjnego, z „Elwoodem” Aykroydem i „Jake” Belushim), którą ostatnio oglądamy na naszych ekranach.

Początkowo Aykroyd i Belushi występowali osobno. Do spotkania doszło podczas występów w telewizyjnym programie rozrywkowym „Saturday Night Life”. Pierwszy specjalizował się w bluesie, drugi - śpiewał piosenki rockowe. Obydwaj zaś mieli dużą vis comica. Chociaż nie był to humor wysokiego gatunku, ich uzdolnienia parodystyczne, zgrzebne, lecz podparte ogromną żywiołowością, podobały się tak zwanej szerokiej, widowni.

Jako piosenkarze - „The Blues Brothers” zaczęli odnosić szybko sukcesy estradowe i płytowe, ich album zatytułowany „A Briefcase Full of Blues”, wydany w ogromnym, 2,5-milionowym nakładzie, został sprzedany błyskawicznie. Pisano o nich i mówiono jako o wskrzesicielach tradycji rhythm and bluesa. Nic dziwnego, że tego rodzaju „nazwiska” postanowił wciągnąć na listę aktorów swego najnowszego filmu - „1941” - Steven Spielberg.

Był to rok 1979. Zaraz potem powstał film „Old Boyfriends”, a następnie Dan Aykroyd napisał scenariusz do „The Blues Brothers”, który od razu wziął na warsztat John Landis. Film był gotowy w 1980 r. W 1981 r. nakręcono jeszcze dwa filmy z „Elwoodem” i „Jakem”: „Neighbours” i „Continental Divide”. I nagle, wszystko się skończyło: 5 marca 1982 r. zmarł tragicznie John Belushi.

„The Blues Brothers” to film przede wszystkim muzyczny. Niektórzy piszą: film muzyczny w stylu disco. Tak czy inaczej, jest to gatunek rządzący się bardzo swoistymi prawami i trudno porównywać „The Blues Brothers” z przeciętną, „mówioną” komedią lub farsą. Naczelna funkcja przypada tutaj muzyce, muzycznemu przebojowi. Im to przede wszystkim musi podporządkować się fabuła, inscenizacja i gra aktorska.

Poza Aykroydem i Belushim (na ekranie: dawnymi wychowankami położonego w dzielnicy slumsów sierocińca, którzy w celu zapłacenia ciążących na zakładzie wychowawczym zaległych podatków postanawiają reaktywować swój dawny zespół muzyczny, co wywołuje całą lawinę nieprawdopodobnych wydarzeń) - otóż poza „The Blues Brothers” występują tutaj sławy muzyki rozrywkowej tej miary, co James Brown, Cab Calloway, Ray Charles, Aretha Franklin.

To ich śpiewu, ich klasycznych przebojów ma się słuchać przede wszystkim. Ich samych, przede wszystkim, ma się oglądać i podziwiać na ekranie. Dopiero potem ma się dziać to wszystko, co się dzieje: ucieczki i pogonie, tajemnicze zamachy na życie dwóch głównych bohaterów, bójki z konkurencyjnymi zespołami, brawurowe rajdy samochodowe, totalne demolowanie sklepów, budynków, nieledwie - całych dzielnic miejskich. Wreszcie - gigantyczne karambole samochodów, policji drogowej. Na zakończenie „Elwood” i „Jake” docierają - gonieni przez wojsko, komandosów i policję - przed oblicze samego... Stevena Spielberga, który gra, w „The Blues Brothers” epizodyczną rolę referenta w urzędzie podatkowym. Dwom przyjaciółom udaje się wpłacić pieniądze za zaległe podatki, zanim zdołała ich zatrzymać policja. Wypełnili misję wobec kierowniczkę sierocińca, zakonnicę - siostry Marii, zwanej „Pingwinem”. I teraz mogą już, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, dać się wsadzić do więzienia wraz z całym zespołem muzycznym. A tam - grać i śpiewać do woli; ku aplauzowi więźniów (i strażników) swój najnowszy przebój: „U klawisza na imieninach”...

Nieprzypadkowo wspomniałem o Stevenie Spielbergu, którego obecność tak mocno wyakcentowana jest w finale filmu. Być może, był to zresztą tylko przypadek, zbieg okoliczności, ale... dający wiele do myślenia. Cały bowiem film jest zrealizowany w swoistym „spielbergowskim” nastroju, a może raczej - w swoistej konwencji, jaka cechuje filmy Stevena Spielberga, niezależnie od ich tematyki i fabuły: perfekcjonizm zawodowy, widowiskowość (możliwa do uzyskania dzięki olbrzymim nakładom finansowym), położenie

głównego akcentu na „zabawowość”. A wszystko podporządkowane, w mniejszy lub większy sposób, poetyce komiksu. Dwie godziny „doskonałej zabawy” na ekranie przy intelektualnym poziomie równym nieledwie zeru. Podobną komiksową poetykę mają „gwiazdne” baśnie filmowe George'a Lucasa (choć przecież tak różnią się od opowieści Spielberga).

Zarówno Lucas jak i Spielberg nawiązują do istoty kina. Do jego korzeni, kiedy było ono przede wszystkim „latarnią czarnoksiężką” i przemawiało bardziej do serc niż do umysłów. Osiągają wyniki zdumiewające. Ale zarazem nadejście „ery Spielberga i Lucasa” to zagrożenie dla kina ambitnego, dla kina walczącego. Ma więc rację Wiesław Weiss, gdy pisze w jednym z ostatnich numerów tygodnika „Film”: „Sukcesy filmów Spielberga i Lucasa postawiły przyszłość artystycznego kina amerykańskiego pod znakiem zapytania (...), ankieta przeprowadzona wśród najmłodszych reżyserów za Oceanem potwierdziła, że następcy „cudownych dzieci Hollywood” marzą dziś tylko o powtórzeniu sukcesu „Gwiezdných wojen”. Nie inaczej było z Landisem. Skwapliwie wykorzystał on powodzenie jednego ze swych filmów, stosunkowo skromnej jak na warunki amerykańskie komedii „National Lampoon's Animal House”, by zrealizować „The Blues Brothers”, wysokobudżetowe widowisko w nowym stylu”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1984, nr 2, s. 11.